

LESZEK MOCZULSKI

TRZY  
DROGI

Warszawa, wrzesień 1993 r.



## Trzy drogi. Gry polityczne... (1993)

### Spis treści

Gry polityczne przed - i po wyborach .....	3
I. Scena polityczna .....	3
2. Przedwyborcze rozgrywki .....	9
3. Powyborcze układy.....	19
4. Ostatnia szansa wyboru?.....	23
5. Tylko jedno pytanie: kiedy?.....	26



## Gry polityczne przed - i po wyborach

Polityka zawsze występuje w dwu wymiarach. Obecnie widać to szczególnie wyraźnie.

Pierwszy wymiar: polityka jako misja. Są cele, których osiągnięcie jest niezbędne. Najczęściej dotyczą one dalszego istnienia i rozwoju narodu. Dzisiaj takim celem jest ocalenie Polski i Polaków przed katastrofą, zachowanie naszej tożsamości i wybiecie się do poziomu zamożności Zachodu. Mamy zarówno obowiązek, jak konieczność, aby ten cel osiągnąć. W tym kontekście nic innego nie jest ważne; nawet warunki w których przyszło nam działać, oraz szanse, które nam daje bieżący czas - mają najzupełniej uboczne znaczenie. Co więcej, realizacja misji, jaką postawiła przed nami historia - nie może podlegać jakimkolwiek kompromisom. Nie zależy to od naszej woli - misję możemy tylko wypełnić. Dlatego nie możemy zatrzymać się ani zboczyć z naszej drogi - musimy być niezłomni. Misja, jaką otrzymaliśmy, jest ważniejsza od nas, którzy ją podjęliśmy, od naszej zbiorowej chęci i zbiorowej woli. Niepowodzenia odsuwają tylko w czasie sam moment wypełniania misji, ona sama pozostaje niezmienna. Nawet wówczas, gdy wydaje się, że żadnego wielkiego celu nie ma przed nami - bo to tylko oznacza, że nie potrafimy go zobaczyć, albo tłumi go szum codzienności - misja istnieje, bo istnieje potrzeba dotarcia do dobra, albo - jeśli chcemy inaczej to nazwać - potrzeba wielkości.

Drugi wymiar: polityka jako gra. Każda gra jest sposobem dotarcia do celu, który samoczynnie nie wypełnia się. Istnieją pewne zasady gry, pewne sposoby, zachowania i procedury, które użyte prawidłowo, powinny zapewnić sukces.

Poniższy tekst mówi o polityce jako grze. Ale proszę nie dać się zwieść pozorom. Gra jest jedynie wypełnieniem misji.

### 1. Scena polityczna

Rację mają ci, którzy twierdzą, że w naszym życiu politycznym nadal więcej jest pozorów niż realiów. W potocznym rozumieniu mamy w Polsce mnogość partii politycznych; ilość ich podaje się często w setkach. Rzeczywiście, w rejestrze Sądu Wojewódzkiego w Warszawie jest ich bodajże 210. W Sejmie I kadencji było ostatecznie 18 klubów i kół politycznych, przy czym niektóre z nich łączyły posłów z różnych ugrupowań (np KP - proszę rozszyfrować ten skrót! - skupiało posłów, którzy do Sejmu weszli z list UD, PC, PL, KLD, PChD, ale potem utworzyli inne partie, jak PK czy SLCh). Klubów tych było i tak niedużo, zważywszy, że w wyborach 1991 r. zgłoszono ponad sto odrębnych list ogólnokrajowych i okręgowych, a do parlamentu dostali się reprezentanci ponad 40 list. Nic dziwnego, że nie był on w stanie normalnie pracować.

W rzeczywistości partii politycznych jest znacznie mniej. Do ich sztucznego rozmnożenia przyczyniła się poprzednia ordynacja wyborcza. Nowa ordynacja ten stan rzeczy znacznie porządkuje. Utrudniła ona radosną twórczość w zgłaszaniu kandydatów. Tylko te partie, które uzyskają co najmniej 5% wszystkich ważnie oddanych głosów w całym kraju (czyli od 600 tys. do miliona - w zależności od frekwencji wyborczej) - będą uczestniczyć w podziale mandatów do Sejmu. Ogranicza to znacznie ilość uczestniczących w wyborach ugrupowań, gdyż przekroczenie wymaganej bariery praktycznie wymaga aby dana partia zgłosiła kandydatów w każdym okręgu wyborczym; dlatego, choć do wyborów 1993 roku zgłoszono ponad



dwadzieścia list, w rzeczywistości bierze w nich udział najwyżej 15 stronnictw, które zgłosiły kandydatów w co najmniej 40 okręgach wyborczych, a na pewno dziewięć, które zgłosiły kandydatów we wszystkich 52 okręgach wyborczych. Do Sejmu wejdzie ich znacznie mniej. Tylko pięć znajdzie się tam na pewno: Konfederacja Polski Niepodległej KPN, Polskie Stronnictwo Ludowe PSL, Unia Demokratyczna UD, Sojusz Lewicy Demokratycznej SLD oraz Bezpartyjny Blok Wspierania Reform BBWR. Kilka dalszych grup, takich jak Unia Pracy, KKW "Ojczyzna", Kongres Liberalno Demokratyczny oraz NSZZ "Solidarność" ma pewne szanse. Pozostałe będą miały wielkie trudności. Zwłaszcza, że poza ZChN nie stworzyły większych bloków; w szczególności nie powstał ani blok centroprawicowy, ani narodowy - co przekreśla szanse takiego ugrupowań jak PC czy KdR, pojedynczo niezdolnych do przekroczenia bariery 5% głosów. Inna rzecz, że nawet utworzenie szerszej koalicji nie bardzo ratowałyby je, gdyż w tym wypadku ordynacja wyborcza podnosi próg do 8% (co najmniej milion głosów). W obecnych wyborach tylko dwie listy muszą sprostać temu wymaganiu: SLD - który już w wyborach 1991 zdobył ponad milion głosów, oraz KKW "Ojczyzna" - której główny trzon, ZChN, uzyskał poprzednio poniżej miliona głosów.

Tak czy inaczej, w przyszłym Sejmie znajdzie się od pięciu do dziesięciu stronnictw, z czego Wielka Piątka uzyska wszystkie, albo ogromną większość mandatów (powyżej 400).

Podnoszone są zarzuty, że nowa ordynacja jest niedemokratyczna. To demagogia, albo nieporozumienie - wynikające z utożsamiania demokracji z bezhołowiem czy chaosem. We wszystkich krajach skutecznie działającej demokracji zamyka się drogę do parlamentu dla małych ugrupowań politycznych: w krajach anglosaskich dostęp mają tylko dwie albo trzy największe partie, do parlamentu V Republiki Francuskiej w ostatnich wyborach dostały się cztery partie. Tak jest w państwach o ordynacji większościowej. Natomiast w RFN, gdzie obowiązuje system proporcjonalny z progiem 5%, do Bundestagu wchodzi trzy, najwyżej cztery partie. Dzięki takim ograniczeniom systemy demokratyczne w tych krajach mogą dobrze działać. Natomiast w państwach, gdzie małe partie, o minimalnym poparciu społecznym mogą łatwo wprowadzić swych przedstawicieli do parlamentu, demokracja często przeradza się w skorumpowaną anarchię, jak we Włoszech czy ongiś w IV Republice Francuskiej. Te ujemne skutki wystąpiły silnie również w Polsce. Sprawa jest prosta: w systemie demokratycznym (w przeciwieństwie do totalitarnego) aby uczestniczyć w kierowaniu państwem, trzeba legitymować się poparciem wystarczająco licznej grupy obywateli. Pięć procent głosujących (co może oznaczać 2,5% uprawnionych do głosowania) to i tak niezbyt wiele. W Stanach Zjednoczonych, aby zostać wystawionym na kandydata do Kongresu, trzeba w prawyborach otrzymać 70-80% głosów zwolenników danej partii (Republikańskiej lub Demokratycznej), a dla wybrania Kongresmanem na ogół potrzeba powyżej 50% wszystkich oddanych głosów. We Francji, jak w ostatnich wyborach, można uzyskać 10% głosów w całym kraju i nie zdobyć ani jednego mandatu. Tak działa system większościowy. Zabawne, że drobne partie prawicowe, które z przyczyn ideologicznych domagają się wprowadzenia w Polsce systemu większościowego opartego o barierę 50%, uznając go za "najbardziej demokratyczny" - krytykują obecną ordynację wyborczą jako "antydemokratyczną" ponieważ wprowadza próg 5%!



Porządkując scenę polityczną, ordynacja wyborcza pozory zastąpi rzeczywistością. Z niewielką dozą pomyłki można przyjąć, że wrześnie wybory zamkną klub partii politycznych. Ugrupowania, które nie wejdą do Sejmu, zepchnięte zostaną na daleki margines i przestaną wywierać wpływ na życie polityczne kraju. Również nie wszystkie stronnictwa, które wejdą do Sejmu, przetrwają. Pozostaną tylko te, które zachowają silne przywództwo i jedność programowo-polityczną oraz będą dysponować rozbudowaną strukturą w całym kraju. Stawia to pod znakiem zapytania trwałość takich ugrupowań jak BBWR i UP, gdyż samo uzyskanie poparcia wyborczego nie wystarczy jeszcze aby listę wyborczą czy klub poselski przekształcić w zorganizowaną formację polityczną. Ponieważ do Sejmu już wpłynął projekt nowelizacji ustawy o partiach politycznych, w sposób bardziej rygorystyczny porządkujący sprawę, można przypuszczać, że już niedługo zarówno faktycznie jak formalnie ilość partii politycznych zredukowana zostanie do kilku. W rzeczywistości tyleż tylko prawdziwych partii politycznych działa w Polsce dziś, ale realnych orientacji politycznych mamy jeszcze mniej, bo jedynie trzy.

Miedzy tymi trzema orientacjami politycznymi będziemy wybierali w najbliższych wyborach.

Reliktem minionej epoki jest orientacja postkomunistyczna. Najprościej można ją określić jako orientację "Byłych". Jej głównym reprezentantem jest Socjaldemokracja (SdRP), partia zrodzona z PZPR, która wespół z różnymi organizacjami związkowymi i środowiskowymi występuje jako Sojusz Lewicy Demokratycznej. Coraz bardziej przechyla się do tej orientacji Unia Pracy. Orientacja "Byłych", niezależnie od propagandowej frazeologii, w rzeczywistości broni interesu byłych właścicieli Polski Ludowej, a więc klasy politycznej rządzącej w PRL oraz grup zawodowych służących totalitarnej władzy (pracowników aparatu terroru, aparatu partyjnego itp). Jej program minimum przewiduje ochronę tych środowisk przed odpowiedzialnością i zachowanie posiadanych pozycji ekonomicznych, społecznych i politycznych - zaś program maksimum zapowiada odzyskanie przez postkomunistyczną nomenklaturę całkowitej władzy nad Polską. Posługując się ideologią lewicową, głównie socjalistyczną, głosząc program rewindykacji społecznych, SLD pragnie pociągnąć za sobą warstwy pracujące, zdesperowane coraz trudniejszymi warunkami życia. Jest to działanie wyłącznie instrumentalne. Orientacja ta miała 45 lat czasu, aby wcielić w życie hasła szacunku dla pracujących i zapewnienia im godziwych warunków życia. Skoro nie uczyniła tego mając pełnię władzy, cóż warte są jej obecne obietnice? Natomiast bez wątpienia szczerze jest opowiadanie się SLD za ideologią tzw. realnego socjalizmu; jest to orientacja ponad wszelką wątpliwość ateistyczna, internacjonalistyczna i nadal wierna utopijnym pomysłom uszczęśliwiania ludzi wbrew nim samym, na siłę.

Druga orientacja reprezentowana jest przez ugrupowania polityczne, rządzące Polską od czterech lat. Możemy nazwać ją orientacją "Teraźniejszych". Stanowi ją obóz Komitetu Obywatelskiego, chętniej nazywający się obozem postsolidarnościowym, który wygrał wybory w czerwcu 1989 r., ale następnie podzielił się na coraz liczniejsze, skonfliktowane ze sobą grupy. Dzisiaj w ramach tej samej orientacji występuje wiele partii i grup, prawicowych i lewicowych, rządowych i opozycyjnych, pro- i antyprezydenckich. Mimo tych podziałów, coraz głośniejsze są apele, aby obóz ten znów zjednoczyć. Rzeczywiście, jeśli nie uda się zintegrować



przynajmniej większej części tych ugrupowań, stronnictwa wywodzące się z Komitetu Obywatelskiego będą musiały oddać władzę, którą niepodzielnie od 1989 r. sprawują.

Myślę, że bezpośrednim czynnikiem sprawczym dążeń integracyjnych orientacji "Teraźniejszych" były wyniki wyborów 1991. Wprawdzie stronnictwa wywodzące się z obozu Komitetu Obywatelskiego zdobyły wtedy trzy czwarte miejsc w Sejmie, ale ta formalna większość była tak silnie podzielona na zwalczające się grupy i grupki, że nic sensownego nie dało się z tego stworzyć. Jako pierwszy próbę integracji podjął Lech Wałęsa, pragnąc stworzyć koalicję pod egidą Belwederu. Nic z tego nie wyszło. Kolejnym wnioskodawcą był Jarosław Kaczyński, który bez powodzenia usiłował poszerzyć bazę parlamentarną rządu Jana Olszewskiego o Unię Demokratyczną i liberałów. Pierwszy, ograniczony sukces odniosła dopiero Hanna Suchocka, tworząc koalicję siedmiu partii wywodzących się z Komitetu Obywatelskiego; rychło okazało się jednak, że zasadnicze sprzeczności między tymi ugrupowaniami (zwłaszcza UD i ZChN) nie zaniknęły, a koalicja była zbyt szczupła, aby zapewnić trwałą większość pozwalającą na utrzymanie w ręku władzy.

Już po rozwiązaniu parlamentu, w obliczu nowych wyborów, pomysły zjednoczeniowe przybrały na sile. Najbardziej dramatycznie apelował o wspólną listę przywódca kanapowej Partii Konserwatywnej - Aleksander Hall. Wzywał on do kontynuowania koalicji na której oparty był rząd Suchockiej, a nawet poszerzenia jej - i do wspólnego uczestnictwa w wyborach. Jeśli bowiem partie tej koalicji pójdą do wyborów oddzielnie, większość z nich nie zdobędzie ani jednego mandatu, a pozostałe będą w parlamencie zbyt słabe, aby w swych rękach zachować rządy - argumentuje Hall. Trudno takiemu rozumowaniu odmówić logiki. Z drugiej jednak strony polityka nie jest arytmetycznym liczeniem szans. Różnice programowe występujące między stronnictwami dawnej koalicji Suchockiej są tak duże, że wykluczyły wspólne listy wyborcze, a do ostrej rywalizacji dochodzi nawet między tak bardzo bliskimi sobie ugrupowaniami, jak UD i KLD, nie mówiąc już o ZChN. Bo co naprawdę, poza chęcią utrzymania się przy władzy, mogłaby wyrażać lista na której obok siebie znaleźliby się Bronisław Geremek i Stefan Niesiołowski (albo jeszcze zabawniej: Barbara Labuda i Marek Jurek)? Dlatego pojawiły się pomysły bardziej umiarkowane. Należał do nich podział koalicji Suchockiej na dwa bloki - bardziej lewicowy, prowadzony przez Unię Demokratyczną i bardziej prawicowy, prowadzony przez ZChN; mniejsze ugrupowania dołączyłyby do jednego lub drugiego. Z punktu widzenia logiki takie rozwiązanie też mogło budzić wiele wątpliwości. Podział koalicji Suchockiej zmniejszył jej szanse wyborcze; ordynacja preferuje silniejsze ugrupowania. Nie jest przesądzone, czy kierowany przez ZChN blok uzyska wymagane w tym wypadku 8%. Jeśli nawet, to koalicje są korzystne dla grup mniejszych, które nie mają żadnych szans, aby samodzielnie wprowadzić swych przedstawicieli do Sejmu. Łącząc się z silniejszymi, nie zapewniają im jakiegokolwiek istotnego przyrostu głosów - ale uzyskują mandaty z ich puli. Mówiąc wprost, tego rodzaju koalicja oznacza jedynie zafundowanie zaprzyjaźnionym politykom miejsc w Sejmie kosztem własnej listy.

Na lewym skrzydle orientacji "Teraźniejszych" kluczową pozycję zajmuje UD; jako jedyna partia koalicji rządowej może być pewną wejścia do Sejmu. Jest to stronnictwo o charakterze lewicowym, ale świadome, że do 1990 r., jego właścivi szefowie byli faktycznymi przywódcami Komitetu Obywatelskiego. Stąd bierze się coraz silniejszy podział UD na dwie części. Jedni - pragmatycy - pragną pod swoim przewodem znów zjednoczyć cały obóz Komitetu Obywatelskiego (określany myląco



jako obóz proreformatorski) - i nie przeszkadza im prawicowy i katolicki charakter ZChN; uważają, że nawet dobrze dysponować tego rodzaju ugrupowaniem, gdyż poszerza możliwości manipulowania społeczeństwem. Drudzy - doktrynerzy - biorą pod uwagę przede wszystkim względy ideologiczne. Dążą do zjednoczenia pod swoim kierownictwem całej lewicy. Oznacza to wprawdzie wyborczy sojusz tylko z miniaturową Unią Pracy, ale po wyborach utworzenie jednolitofrontowej koalicji z SLD. Określa się to jako powrót do "historycznego kompromisu" Okrągłego Stołu. Rzecz jest o tyle realna, że odpowiada cichym marzeniom postkomunistów, a może obu stronom zapewnić wspólne uzyskanie większości sejmowej.

O ile pierwsza z tych koncepcji, głoszona przez pragmatyków, jest wyraźnie politykierska, to drugiej trudno odmówić swoistej uczciwości. Dotyczy to zwłaszcza Unii Pracy, która występując oddzielnie i mając niewielkie szanse, jawnie i szczerze życzy powodzenia wyborczego zarówno SLD, jak UD.

Drugim co do rangi ugrupowaniem w dawnej koalicji Suchockiej jest ZChN. To stronnictwo, podobnie jak UD, cierpi na wewnętrzną dwoistość. Występuje w nim bardzo silna grupa "pragmatyków". Uważają oni, że ZChN za wszelką cenę powinno być w rządzie. W każdym rządzie. Dlatego ZChN od trzech lat jest nieprzerwanie we wszystkich koalicjach rządowych, kierowanych przez liberała Jana Krzysztofa Bieleckiego, antyliberała Jana Olszewskiego oraz lewicowca Bronisława Geremka. Obecnie "pragmatycy" uznają konieczność politycznego podporządkowania się Unii Demokratycznej. Jednak ton zewnętrzny nadają ZChN nie "pragmatycy", a bardzo głośna grupa "doktrynerów"; występują oni stanowczo przeciwko lewicy i socjalistycznej ideologii, przeciwko ateizacji (laicyzacji) życia publicznego, odchodzeniu od tradycyjnych wartości moralnych, roztapianiu narodu polskiego w kosmopolitycznej Europie; nie ukrywają swej wrogości wobec UD. Utrzymanie się dwu takich tendencji w jednej partii jest raczej niemożliwe; trzeba liczyć się, że albo jedna z nich zwycięży, albo ZChN podzieli się. Obecny stan rzeczy powoduje, że ZChN praktycznie nie ma szansy dostania się do parlamentu.

Do większych ugrupowań w koalicji Suchockiej należy jeszcze KLD. Jest to partia tyleż prawicowa w słowach, co lewicowa w sposobie myślenia. Głosi ona skrajne hasła liberalizmu gospodarczego (właściwie - leseferyzmu), domaga się swobody działania gospodarczego na sposób książkowy, bez żadnych ograniczeń, fetyszyzuje wolny rynek, występuje przeciwko interweniowaniu państwa w gospodarkę, chce całkowitej likwidacji własności państwowej, występuje stanowczo przeciwko związkom zawodowym i żądaniom rewindykacji społecznych, zwłaszcza podwyżkom płac i emerytur. Cały ten program, choć pozornie prawicowy, opiera się na bardzo lewicowych założeniach intelektualnych. Należy do nich przede wszystkim typowe dla marksizmu przekonanie o potrzebie inżynierii społecznej, tj. tworzeniu i likwidowaniu przez politykę klas społecznych oraz wiara w samoistną moc wynikającą z przenoszenia własności z jednych rąk do drugich. Ponadto liberałowie głoszą równie silnie jak postkomuniści hasła laicyzacji czy też ateizacji, zastępowania państw narodowych euroregionami, stopniowej rezygnacji z suwerenności państwowej na rzecz międzynarodowej biurokracji. Charakterystyczne, że chociaż udział KLD w rządach pozwolił niektórym - dzięki pokrętnym metodom tzw. prywatyzacji - wzbogacić się bardzo, to polityka gospodarcza liberałów okazała się generalnie szkodliwa dla biznesu, bo ogromną większość prywatnych przedsiębiorstw postawiła



przed groźbą bankructwa; dotyczy to nie tylko małych i średnich firm, ale również dużych (przykładem niech będzie "Westa").

Zarysował się bardzo wyraźny spadek poparcia KLD przez kręgi przedsiębiorców. Jeśli ta tendencja utrzyma się, KLD zejdzie ze sceny politycznej.

W świetle powyższego przekształcenie koalicji rządowej w wyborczą jest mało prawdopodobne. Raz jeszcze okaże się, że sprzeczności i skłonność do jałowej dyskusji są w tych grupach znacznie silniejsze, niż poczucie wspólnego interesu, nie mówiąc już o poczuciu odpowiedzialności.

Poza koalicją Suchockiej pozostawała ta część obozu Komitetu Obywatelskiego, która rozpętała w 1990 r. "wojnę na górze" przeciwko Mazowieckiemu i obecnej UD, a w 1992 r. wystąpiła przeciwko Lechowi Wałęsie. Określa się ona obecnie jako centroprawica, choć poszczególne jej fragmenty posługują się różnymi nazwami: centrowców, chrześcijańskiej demokracji, narodowców, prawicy, nawet niepodległościowców - choć z reguły są to tacy, którzy hasła niepodległości zaczęli głosić dopiero po rozpadzie ZSRR. Najsilniejsze w tej grupie Porozumienie Centrum, nie mając dostatecznych szans na samodzielne wejście do Sejmu, bez powodzenia usiłowało stworzyć wokół siebie koalicję obejmującą pozostałe mniejsze grupy. Ostatecznie zarówno Centrum, jak grupa Olszewskiego, występująca tym razem pod nazwą Koalicji dla Rzeczypospolitej idą do wyborów oddzielnie. Dzieli to ich elektorat w taki sposób, że obie grupy straciły szansę dostania się do Sejmu.

Stronnictwa, wyrosłe z Komitetu Obywatelskiego, pociągnęły za sobą jedynie część tego obozu. Do pozostałych, w tym do kół prywatnego biznesu, rolników, samorządu pracowniczego, działaczy "Solidarności" zwrócił się Prezydent Lech Wałęsa z propozycją powołania Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform. Byłaby to nie tyle partia prezydencka - bo ta powinna być wyrazista i oparta o jednolity program, ile raczej szerokie porozumienie wyborcze, bez jednolitego, całościowego programu, bo łączące ludzi różnych przekonań, reprezentujących odmienne interesy i środowiska. Generalnie jednak BBWR skupia tych, którym powiodło się po 1989 r. - czy to w budowaniu fortun osobistych, czy w uzyskaniu pozycji nadającej wyższą rangę społeczną (radni, działacze związkowi i społeczni) - ale nie zaspokoilo w pełni ich osobistych ambicji. Propagandiści UD podkreślają jeszcze, że BBWR to jest tzw. trzeci wybór. Pierwszym wyborem miała być selekcja dokonana w 1989 r. wśród działaczy Komitetu Obywatelskiego przez Mazowieckiego i Geremka pod kątem przydatności do pracy państwowej i politycznej; wyrosła z tego później Unia Demokratyczna. Drugim wyborem było preselekcjonowanie reszty, aby zdobyć zaplecze polityczne w wyborach prezydenckich dla Lecha Wałęsy; dało to w efekcie utworzenie ZChN, PC i KLD. Z pozostałych po tych selekcjach ma się brać trzeci wybór - chętni, którzy nie "załapali się" wcześniej, mają teraz szansę wejścia do BBWR. W takim stawianiu sprawy jest bardzo wiele złośliwej przesady. Na pewno natomiast mamy do czynienia z wyraźnym nawiązaniem do niejednolitej programowo listy wyborczej, której Lech Wałęsa zapewnił zwycięstwo w 1989 r.; sukces taki obecnie nie może być powtórzony, ale szansa wprowadzenia do Sejmu sporej grupy posłów z BBWR jest niemała. Zabiorą oni głosy zarówno UD, KLD i ZChN, jak też sporą część tych, którzy w ostatnich wyborach poparli Porozumienie Centrum (uważane w 1991 powszechnie za partię proprezydencką); zapewne wystarczy to, aby przejść barierę 5% głosów.



Pozostaje jeszcze "Solidarność" - polityczny cień potężnego ruchu, który w latach 1980-81 zadał śmiertelny cios komunizmowi nie tylko w Polsce, lecz w całym obozie moskiewskim. Czy weźmie ona udział w wyborach jako ugrupowanie programowo jednolite, czy nie podzieli się politycznie, czy po wyborach potrafi realizować jedną linię? - na to pytanie nawet szefowie Związku nie potrafią dać pozytywnej odpowiedzi.

Przejdźmy teraz do trzeciej orientacji. To ci, którzy jeszcze nie rządzą, ponieważ byli w opozycji zarówno wobec rządów komunistycznych (orientacja "Byłych"), jak też rządów Komitetu Obywatelskiego (orientacja "Teraźniejszych"). Co więcej, nie dali się kupić - i ani za wysokie stanowiska państwowe ani za korzyści materialne nie odstąpili od swego prospołecznego programu. Najprościej trzecią orientację określić można jako "Przyszłych", bo prędzej czy później obejmie ona władzę w Polsce. Reprezentuje ją Konfederacja Polski Niepodległej. Jest to partia, która ma przed sobą przyszłość, bowiem z wyborów na wybory zdobywa wielokrotnie więcej głosów. Wokół KPN skupiają się w tych wyborach te środowiska centroprawicowe, chrześcijańskie i niepodległościowe, które pragną wprowadzić Polskę na nową drogę, a mają dość rozsądku i realizmu politycznego, aby nie dzielić głosów.

Pozostała jeszcze jedna duża partia, a mianowicie Polskie Stronnictwo Ludowe. Nie zaliczyłem PSL do żadnej z trzech opisanych wyżej orientacji, bowiem nie jest to takie proste. PSL wywodzi się ze stuletniego już, polskiego ruchu ludowego - agrarystycznego i chrześcijańskiego. Nazwą nawiązuje do stronnictwa, które w pierwszych latach powojennych odważyło się wystąpić przeciwko dyktaturze komunistycznej. Struktury i majątek, a także część kadry odziedziczyło po okresie PRL, kiedy jako ZSL - chętnie lub nie - było przymusowym sojusznikiem PZPR. W ostatnich latach przeżyło ogromne przeobrażenia, w znacznej mierze szeregi jego zaczynają wypełniać ludzie młodszy, nie aktywni politycznie przed 1989 r. Aktywizują się jednak i starsi, odgrywający w stronnictwie ważną rolę przed 1989 rokiem. Nadchodzące wybory, które ostatecznie zadecydują o personalnym składzie parlamentarnej reprezentacji PSL, określą też związek stronnictwa z jedną z orientacji politycznych. Wiele wskazuje, że nie będzie to ani orientacja "Byłych", ani "Teraźniejszych". Być może jednak PSL nie zdecyduje się na dokonanie ostatecznego wyboru i opowiedzenie się po stronie jednej z trzech orientacji. Wówczas wystąpi w swej tradycyjnej, nieco jednostronnej roli reprezentanta interesów wsi. Ograniczy to znacznie możliwości polityczne stronnictwa, także w zaspokajaniu chłopskich dezyderatów.

## 2. Przedwyborcze rozgrywki

To będą bardzo trudne wybory. Rzecz toczy się o olbrzymią stawkę. We wrześniu 1993 zadecyduje się los Polski. Wyborcy, ci którzy pójdą do urn, rozstrzygną jaką drogą ma iść Rzeczpospolita. Generalnie są przed Polską trzy drogi, choć alternatywa polityczna jest poczwórna, a głosy w swej ogromnej masie rozdzielią się między pięć list. Pierwszą drogę - realnie nawrotu do systemu niewolenia i oszukiwania społeczeństwa - proponuje orientacja "Byłych", reprezentowana przez SLD. Drugą drogę - utrzymania wszystkiego tak jak jest - forsują dwa rywalizujące ugrupowania polityczne: UD z sojusznikami oraz BBWR. Trzecią drogę - wprowadzenia Polski z kryzysu i beznadziei - głosi KPN. PSL - piąta lista - przyłączy



się do którejś z tych orientacji, albo pozostanie na uboczu, rezygnując z udziału w Wielkim Rozstrzygnięciu.

Będzie bardzo dobrze, jeśli Polacy potrafią świadomie wybrać. Orientacja, która uzyska najwyższe - i dostatecznie wysokie - poparcie społeczne, poprowadzi swoją drogą Polskę, wspierana czynnie przez liczne miliony obywateli, którzy jej program uznali za słuszny.

Pamiętajmy bowiem, że rządzenie ma charakter społeczny. Żaden program nie wykonuje się sam, ani nie są w stanie zrealizować go samotni przywódcy czy najwyżsi urzędnicy państwowi - prezydent, ministrowie, wojewodowie. Rządzenie to pobudzanie aktywności społecznej i nadawanie jej odpowiedniego kierunku. Jeśli ludzie są tylko biernymi obserwatorami - każda władza zawisa w próżni i nie może nic, albo bardzo niewiele. Stąd bierze się owa niemożność, dobrze nam znana od kilkudziesięciu lat. Aktywność oraz inicjatywność obywateli - jednostkowa i zbiorowa, zawodowa, gospodarcza, społeczna, polityczna, kulturowa - jest niezbędna dla funkcjonowania państwa i realizacji jakiegokolwiek programu. Jest w ogóle niezbędna, aby naród mógł żyć i rozwijać się. Otóż ani człowiek, ani wspólnota nie będzie uczestniczyć trwale w czymś, czego sensu nie uznaje, ani nie rozumie. Ludzi można do wykonywania czegoś zmuszać; wówczas będą czynić to, co muszą niedbale i niechętnie; pożytku z tego będzie niewiele. Koronnym tego przykładem jest totalitaryzm: miliony wykonują narzucone im zadania, ale żadne nie jest właściwie wykonane i po pewnym czasie wszystko wali się jak domek z kart. W naszej części Europy liczne narody przeżyły to na własnej skórze. Ale dzieje się tak nie tylko w totalitaryzmach. Plan Balcerowicza, narzucony Polakom bez pytania o zgodę, choć przyjęty początkowo przez prawie wszystkich z nadzieją i entuzjazmem - bardzo szybko uległ społecznej kompromitacji. Ludzie nie rozumieli jego sensu, i nie godzili się uczestniczyć w czymś, co zamiast poprawiać, pogarszało ich los. Trudno przecież wymagać, aby 15 milionów Polaków, których zarobki spadły poniżej jakiegokolwiek dopuszczalnego minimum socjalnego, aby trzy miliony osób pozbawionych pracy, aby osiem milionów emerytów pozostawionych w sytuacji bez wyjścia - aby wszyscy ci, którzy w ostatnich czterech latach stracili tak wiele - chcieli uczestniczyć czynnie w realizacji planu, jaki przyniósł im te wszystkie nieszczęścia. Gdyby nawet plan Balcerowicza był dobrze pomyślany, to w warunkach masowego sprzeciwu, a co najmniej bierności społecznej, musiał zakończyć się niepowodzeniem. Bez ludzi, a zwłaszcza przeciw ludziom - żaden rząd nic nie osiągnie. W systemie demokratycznym ta prawda ujawnia się szybciej, niż w jakimkolwiek innym.

Nie wystarczy, jeśli w nadchodzących wyborach przekonywującą większością zostanie wybrana jedna z partii. Istota sprawy tkwi w tym, żeby Polacy wybrali odpowiadający im program, który będzie realizował przyszły rząd. Tylko bowiem wybór programu, odpowiadającego interesom większej części społeczeństwa daje gwarancję, że przyszły rząd będzie mógł rządzić, gdyż jego plany i decyzje będą aktywnie spełniane przez obywateli. Klęską wyborczą dla nas wszystkich byłoby uzyskanie większości przez partię, która co innego zapowiada, a co innego będzie czynić. Gdyby to była np. UD, która obiecuje wiele, ale chce kontynuować obecną linię (co oznacza, że po wyborach dla przeciętnego Polaka nic nie zmieniłoby się na lepsze) - społeczeństwo w swojej większości pozostałoby wobec wysiłków przyszłego rządu bierne i niechętnie - a to przesądza o niepowodzeniu każdego programu. Gorszą znacznie ewentualnością byłoby zwycięstwo wyborcze SLD. Postkomuniści



nieprzerwanie dają do zrozumienia, że poziom zatrudnienia oraz zarobków realnych natychmiast wróciłby do stanu z 1989 r.; ponieważ na pewno nic takiego nie nastąpi, ludzie szybko zrozumieliby jak bardzo zostali oszukani - i zapewne wystąpili czynnie przeciwko takiej władzy.

Największym zagrożeniem, przed którym obecnie stoimy, jest manipulacja, która nie pozwoli Polakom dokonać właściwego wyboru. Jest to wybór ograniczony, bo między trzema zasadniczymi orientacjami. Jeśli ten fakt zostanie zamazany i ukryty, a Polacy będą wybierać tylko pomiędzy nazwiskami nieznanymi im w większości kandydatów i skrótami nazw partii, szansa która stoi przed Rzeczpospolitą, zostanie zmarnowana. Co więcej, wydarzenia potoczą się w bardzo złym kierunku. Jeśli zwycięskie ugrupowanie nie wywiąże się ze swych zobowiązań wyborczych - straci szansę skutecznego rządzenia, bo nie wywoła aktywnego uczestnictwa obywateli. Jeśli cynicznie oszuka wyborców - może spowodować czynny protest. Słowem, niepowodzenie szansy wyborczej prowadzi automatycznie albo do nowych, przyspieszonych wyborów, albo do rewolucji społecznej. Jeszcze do tego wrócę.

W tym miejscu trzeba jednak zadać pytanie: czy rzeczywiście musi dojść do wielkiej manipulacji? Utrudniającej, jeśli nie uniemożliwiającej Polakom dokonanie rozsądnego wyboru. Takiego, którego nie będą już wkrótce żałować. Wszak ogromna większość przywódców politycznych zdaje sobie sprawę, że bez poparcia społecznego trudno rządzić - choćby doświadczenie rządu Suchockiej jest tego wystarczającym dowodem. Rządzenie ponad społeczeństwem, bez brania pod uwagę jego potrzeb - wyprowadza zawsze na manowce. Stąd, na zdrowy rozum - wydawałoby się, że w interesie wszystkich, powinno być dążenie do rozstrzygnięć merytorycznych; o wyborze powinny decydować programy, a nie socjotechniki i reklamy polityczne. Zresztą wszyscy mówią, że tak być powinno. W czym więc problem?

Niestety, słowa polityków, zwłaszcza tych mierniejszych, zbyt często nie pokrywają się z rzeczywistością, a potrzeba słuszności rzadko oznacza poświęcenie własnych interesów. Ostatecznie, polityka to nie akademicka dysputa, w której liczą się argumenty, a raczej rozumowe ocenia się w kategoriach słuszności; w polityce ścierają się interesy - i interesy określają, co dla kogo jest słuszne. Mogą to być interesy szlachetne i nieszlachetne. Mogą dotyczyć rzeczy wielkich: ludzkości, zachowania pokoju, dobrobytu społecznego - ale także uzyskania dominacji, zagarnięcia innych. Mogą dotyczyć rzeczy mniejszych: uzyskania władzy, wprowadzenia w życie jakiegoś planu, zachowania dobrej pozycji. Mogą dotyczyć rzeczy przyziemnych: stanowisk, pieniędzy, bezkarności. Logika i rozsądek, a także zwykła uczciwość nakazywałyby nie dopuścić do manipulacji wyborczej - interes w wielu wypadkach żąda czego innego.

Popatrzmy na poprzednie wybory. W wyborach prezydenckich ja jeden przedstawiałem program; wszyscy pozostali kandydaci ograniczali się do rozmaitych socjotechnik, aby za wszelką cenę zdobyć jak najwięcej głosów. Dokładnie tak samo było w wyborach parlamentarnych 1991 r.; ponieważ uczestniczyło w nich bardzo wiele grup, mętlik był niesamowity, a wyborcy często nie byli w stanie rozróżnić kto jest kto. Czym bowiem różniły się cztery listy ekologiczne i dobre piętnaście chadeckich? Taka manipulacja miała tylko jeden cel: wprowadzić jak najwięcej partii do parlamentu. Rozstrzygnęły liczne, ale zbieżne interesy różnych partii: być w Sejmie samemu i mieć tam swoich. Ostrzegaliśmy przed tym, ale bezskutecznie. Wytworzono w świadomości wyborców tak wielkie zamieszanie, że każdy na kogoś głosował, lecz



nie zawsze wiedział czemu. W efekcie mieliśmy taki Sejm, jaki każdy mógł oglądać w telewizji: podzielony i skłócony, pełen jałowego gadulstwa i ognistych sporów o marginalne tematy. Najważniejszych kwestii, jeśli nawet były podnoszone (jak to czynili posłowie KPN) ten Sejm nawet nie chciał rozpatrywać. Natomiast nadzwyczaj skutecznie potrafił bronić interesu tych, którzy w Izbie zasiadali, i powiązanych z nimi grup. Nic więc dziwnego, że nie oczyścił Polski ze zła, jakie pełni się coraz bardziej - ale raczej je wspomógł.

Walka interesów gwałtownie się zaostrza. Wielkich i małych, szlacheckich i podłych. Interes pracujących w państwowych zakładach pracy, a także tych, którzy tam pracę utracili - jest oczywiście sprzeczny z interesem ludzi, którzy zbankrutowane przedsiębiorstwa mogą kupić znacznie taniej, niż kwitnące. Interes osób odpowiedzialnych za rządzenie krajem wymaga, aby nie zostali rozliczeni, co łączy "Byłych" i "Teraźniejszych" - interes kraju wymaga tych rozliczeń, aby nie powtarzały się złe czyny. Interes emerytów jest przeciwny interesowi biurokracji, która aby się rozrastać potrzebuje pieniędzy. Mamy interes Polski, interesy społeczne i środowiskowe, ale także interesy mafii i aferzystów.

Jeśli wybory wygra lewica - SLD i UD - to odpowiedzialni za obecny katastrofalny stan rzeczy nie zostaną rozliczeni. Oni - i następnicy będą mogli czynić to samo. Jeśli jednak przegrają partie orientacji "Byłych" i "Teraźniejszych" - rozliczenia nastąpią, a dla wielu oznaczać to będzie załamanie kariery, zwrot zagarniętego majątku, nawet więzienie. To ukazuje o co idzie gra. Ci, którzy rządzą kiedyś i rządzą dzisiaj, wiedzą że grają o najwyższą dla nich stawkę. Nie zamierzają kapitulować. Będą się bronić do ostatka. Przy użyciu wszelkich środków. Także niegodziwych.

Możemy obawiać się wszystkiego. Nawet prób sfalszowania wyborów. Nie ma podstaw, jak na razie, aby oskarżać o to przywództwa rządowych partii. Ale wystarczy może sama inicjatywa oddolna - rozmaitych prowincjonalnych i lokalnych działaczy obozu rządowego, którzy obsiądą Komisje Wyborcze i lekko będą się mylić przy obliczaniu głosów. Zabranie jednemu i dorzucenie innym parudziesięciu głosów w komisji obwodowej może oznaczać w skali kraju kilkaset tysięcy - i zadecydować o zwycięstwie wyborczym stronnictwa, które w rzeczywistości poniosło klęskę. Nieuczciwe praktyki dały o sobie znać już w wyborach prezydenckich i parlamentarnych 1991 r.; zdarzały się przypadki, kiedy podana do wiadomości publicznej przez komisję obwodową ilość głosów na kandydatów KPN była mniejsza od ilości rzeczywistej, ustalonej przez samych głosujących. Takie właśnie machinacje mogły być powodem pewnej rozbieżności między wynikami wyborów 1991, podanymi natychmiast po głosowaniu na podstawie sondy wśród głosujących - a wynikami ogłoszonymi później.

Wybory będą okazją, aby poznać siłę swoich pieniędzy. Głośno mówi się, ile kosztuje wprowadzenie jednego posła do Sejmu; niektórzy biznesmeni chwalać się, na ilu posłów ich stać. Wbrew pozorom, kupienie sobie jakiegoś parlamentarzysty przez zapobiegliwego aferzystę nie jest aż tak groźne; jeśli dany poseł zaangażuje się w obronę brudnych interesów swego patrona, prędzej czy później wpadną obaj. Oczywiście, każde - nawet naiwne korumpowanie Sejmu jest szkodliwe i trzeba je stanowczo piętnować. Prawdziwym katastrofalnym zagrożeniem staje się porozumienie jakiegoś stronnictwa z grupą finansową, krajową lub zagraniczną, przewidujące, że w zamian za uzyskane pieniądze przysły rząd wypełniał będzie instrukcje, jak



prowadzić politykę, aby druga strona osiągała szybkie i olbrzymie zyski.

Korupcja w kampanii wyborczej nie ogranicza się do podobnych łapówek. Można sięgać i do funduszy publicznych, także państwowych. Znana jest sprawa z wyborów prezydenckich, kiedy w Krakowie na koszt Kancelarii Sejmu, pokrywano niektóre wydatki komitetu wyborczego kandydata. W wielu wypadkach stronnictwa rządowe nawet nie są w stanie nie korzystać z pieniędzy państwowych, np. posługując się w kampanii opracowaniami i analizami sporządzonymi na zlecenie rządu, a niedostępnymi dla opozycji.

Pełnienie władzy daje jeszcze inne, nie tylko finansowo wymierne korzyści; np. wiadomo powszechnie, że z racji wyborów UOP zbiera wiadomości zarówno o działaniach, jak o zamiarach partii politycznych. Przypomnę, że w sam dzień wyborów 1991 przypadkiem odkryto, że Biuro Wyborcze KPN w Krakowie jest na stałym podsłuchu UOP; po kilku miesiącach prokuratura umorzyła śledztwo z powodu nie wykrycia sprawców (a sprawcą, jak wiadomo, jest osoba fizyczna, a nie urząd; nikt się nie przyznał, że to on podsłuchiwał).

Wreszcie może najważniejsze: środki masowego przekazu. Sporą bibliotekę można stworzyć z książek, które wykazały, że wybory wygrywa ten, kto ma w ręku telewizję. Jest to na pewno przesadne: nie rzadko i telewizja nie ratuje przed klęską. Po raz kolejny zdarzy się tak i tym razem. Ale trudno zaprzeczyć, że kto nie pojawia się na ekranie telewizora, na ogół nie istnieje w świadomości masowej. Od paru lat publikuje się w Polsce systematycznie rankingi popularności polityków; w pierwszej dziesiątce zawsze znajdują się tylko ci, którzy pełnili lub pełnią najwyższe urzędy państwowe - a więc dysponowali telewizją. Spośród tych, którzy zawsze - jak dotychczas - byli w opozycji, trwale w pierwszej dwudziestce jestem tylko ja; ale do pierwszej dziesiątki udaje mi się przebijać z wielkim trudem i tylko na chwilę. Natomiast na pierwszym miejscu niezmiennie od lat jest polityk, który jako minister dysponował i dysponuje cotygodniową własną audycją w telewizji, nadawaną w najlepszym czasie antenowym. Hanna Suchocka jest znacznie popularniejsza, niż jej ministrowie, wprost proporcjonalnie do czasu, jaki przypada im w TV. Mimo zapowiedzi, że telewizja w równej mierze będzie pokazywać osoby związane z wszystkimi stronnictwami, od samego początku kampanii wyborczej TV w sposób nachalny forsuje przedstawicieli orientacji "Teraźniejszych". W pierwszym tygodniu czerwca we wszystkich programach informacyjnych i publicystycznych telewizji UD miała 17 minut, KLD 11 minut, a KPN 27 sekund - w dodatku był to telewizyjny wyskok przeciw Konfederacji! W następnych tygodniach było podobnie.

Zapewne ten telewizyjny zalew propagandą "Teraźniejszych" uda się nieco przykrócić; ostatecznie jest to nieuczciwość, którą wszyscy widzą (choć nie wszyscy rozumieją), jaskrawo sprzeczna z prawem - jakim jest bez wątpienia Ordynacja Wyborcza. Ale nie łudźmy się: może lepiej zachowując pozory, telewizja będzie nadal popularyzowała stronnictwa związane z władzą, a zwalczała czy też przemilczała opozycyjne. Dotyczy to zresztą większości środków przekazu - telewizji prywatnych, radia, prasy. W ciągu ostatnich lat praktycznie w całości zostały one zmonopolizowane przez rządzących.

Można obawiać się, że środki masowego przekazu, a także inne formy kampanii wyborczej nie ograniczą się tylko do monopolizowania informacji na rzecz "Teraźniejszych". Biała propaganda zostanie uzupełniona czarną: demagogicznymi zarzutami i oszczerstwami. Wprawdzie Ordynacja Wyborcza zawiera przepisy, które



mają przed tym chronić, ale już na samym początku okazało się, że są one martwą literą. "Życie Warszawy" oszczerczo pomówiło mnie, jakobym interweniował w sprawie uwolnienia jakiegoś aresztowanego biznesmena; Sąd Wojewódzki, a następnie Sąd Apelacyjny w Warszawie odmówiły rozpoznania sprawy, stwierdzając iż artykuły prasowe, publikowane w czasie kampanii wyborczej i do niej nawiązujące nie są częścią kampanii wyborczej. Pozostała mi jedynie zwykła droga sądowa; ciekawe, czy przed wyborami sąd zdąży rozpatrzyć skargę? Podobne pomówienie ministra Bieleckiego zostało natychmiast rozpatrzone przez Sąd i oszczerca musiał przeprosić w prasie i telewizji. Skoro sądy, przynajmniej warszawskie, nie chcą ścigać oczywistych naruszeń prawa w sposób przewidziany Ordynacją, droga do bezkarnych oszczerstw prasowych została szeroko otwarta. Jediną na niej zaporą może okazać się tylko dziennikarskie poczucie odpowiedzialności; czy jednak wszyscy potrafią się nim wykazać? Monopolizowanie informacji wyborczych, przemilczanie przeciwników, oszczerstwa i pomówienia stanowiąc będą tylko formy bezpośrednie. Znacznie groźniejsze są pośrednie, w znacznej mierze obliczone na podświadomość wyborcy. KLD publicznie przyznał się, że dla potrzeb kampanii wynajął sobie wyspecjalizowaną w tej dziedzinie firmę duńską. Postkomunistyczny tygodnik "Wprost" zorganizował piknik wyborczy, oszukańczo nazwany prawyborami, łatwo uzyskując potrzebny wynik, zgodny z preferencjami wyborczymi pisma: zwyciężyły SLD, UP i UD! Stosowanie wszelkiego rodzaju socjotechnik ma przede wszystkim tworzyć zamieszanie w świadomości wyborców, tak aby stracił on zdolność rozróżniania argumentów; gdy wszystko stanie się jedną papką, przestaną liczyć się racje, a pozostaną jedynie wrażenia. Wówczas ci, którzy będą mieli wystarczającą ilość pieniędzy na najdroższe formy propagandy, a także większe wpływy w telewizji - jak liczą - pozostaną sami na placu.

Wielka manipulacja, jakiej będziemy świadkami, opiera się na jednym tylko filarze. Jest nim przekonanie o głupocie społeczeństwa. Polacy mają być ciemni, bezrozumni, powodowani jedynie narzuconymi im wrażeniami - masa półdebilów, dających sobą łatwo kierować. Taka ocena nie jest czymś nowym - od dawna hołduje mu pseudointelektualna elita, która chce rządzić Polską tak jak rządzi się narodem idiotów. W rzeczywistości głupcami są ci, którzy tak myślą - stąd ich bolesne doświadczenia polityczne.

Przeciwnie niż stronnictwa liczące na głupotę Polaków - KPN stawia na Polaków rozsądek. Zobaczmy, jakie będą wyniki.

Ludzi, których rzeczywistych interesów bronią stronnictwa orientacji "Byłych" i "Teraźniejszych", jest w Polsce milion, może półtora. Wszystkie głosy, które pozyskają ponadto, będą głosami ludzi, którym skutecznie zamieszano w głowie. Będzie ich na pewno znacznie mniej, niż jesienią 1991 r. Będzie mniej, bo mamy do czynienia nie tylko z życiem pozorowanym - propagandową wrzawą wyborczą, ale również z twardą rzeczywistością. Wybory będą trudne, gdyż w obronie zagrożonych interesów rządzących środowisk dojdzie do bezwzględnej wielkiej manipulacji, ale też zbiegają się one w czasie z wyraźnym pogłębieniem kryzysu. Rzeczywistość zderzy się z propagandą - zawsze może prowadzić to do nieobliczalnych następstw.

Rozwiewają się propagandowe zasłony - widać to od wielu lat. Rzeczywistość skrzeczy, staje się głośniejsza od usypiającej muzyki rządowej TV. Tak jak zdarte zostały zasłony z planu Balcerowicza, rzekomego państwa prawa, grubej kreski - prawda ujawnia się coraz pełniej. Nim dojdzie do wyborów, prawdy tej będzie więcej.



Aspołeczna polityka kolejnych rządów, kumulując złe efekty, doprowadziła kraj do obecnego rozpaczliwego stanu. Wysiłki, aby bolesne skutki odłożyć na nieco później, przynajmniej na okres po wyborach, podejmowane tak rozpaczliwie przez rząd Suchockiej - dadzą tylko częściowe wyniki. Cały wysiłek gabinetu Suchockiej koncentruje się obecnie przede wszystkim na przeniesieniu momentu nieuniknionego pogorszenia warunków egzystencji na okres po wyborach. W tym celu potrzebne są wszelkie środki: te które można szybko zedrzeć z przedsiębiorstw i obywateli oraz te, które w budżecie przewidziane są do wydania w IV kwartale. Trzeba liczyć się, że stosowanym od lat obyczajem dodrukuje się pustych złotych. Nowe obciążenia, zaprogramowane przez rząd, spadną na bardzo kruchą już stabilizację gospodarczą - i na bardzo niski poziom egzystencji szarego człowieka. Przynieść to może skutki katastrofalne.

Ktoś powiedzieć może, że taka polityka jest pozbawiona sensu; jeśli dzięki stosowanym manipulacjom finansowym, przenosząc moment kryzysowego załamania się na jesień, rząd wygra wybory, to sam wpadnie w przygotowaną przez siebie pułapkę. A jeśli już wie, że wybory przegrał z kretelem, to dlaczego pozwala sobie na taką nieodpowiedzialną politykę? Tylko po to, żeby w trudniejszej sytuacji postawić następców?

Takie stawianie sprawy jest logiczne, ale przecenia zdolności rozumowania przywódców obozu rządzącego. Przerażeni zagrożeniem ich najistotniejszych interesów, nie myślą oni o tym, co będzie po wyborach. Chcą je wygrać za wszelką cenę, a co najmniej nie przegrać, utrzymać dotychczasową pozycję. A że potem społeczeństwo będzie się buntować? Zakładają, że umocniona sukcesem w demokratycznych wyborach, silniejsza niż dziś władza jakoś sobie z tym poradzi. Niepowodzenia ostatnich czterech lat, dotkliwy spadek stopy życiowej, cynizm rządzących podkreślany tak bardzo ich wyborczą arogancją - napędza poparcie SLD. Skoro demokratyczny eksperyment 1989-1993 nie udał się - wywodzą komuniści, trzeba go porzucić i oddać władzę tym, którzy rządzą poprzednio. Nieodpowiedzialność obecnej władzy polega nie tylko na jej aspołecznej polityce, lecz również na otwarciu drogi powrotu dawnej komunie. Rządzące w Polsce partie, podobnie jak litewski Sajudis, nie są w stanie powstrzymać powrotu do władzy postkomunistów. Jedyne ugrupowaniem, które zdolne jest to uczynić - pozostał tylko KPN.

Przejdźmy do samej rozgrywki wyborczej. Prowadzona w warunkach nabrzmiewającego konfliktu społecznego, w krytycznej sytuacji gospodarczej, w trakcie bezwzględnej kampanii zmierzającej do wielkiej manipulacji - wymagać będzie szczególnej precyzji oraz krańcowego natężenia sił.

Rozpoczynamy tę rozgrywkę w wygodnej pozycji środkowej. Na lewo od nas działać będą dwa bloki: Unia Demokratyczna wspierana przez KLD oraz Sojusz Lewicy Demokratycznej. Formalnie na lewicy znajdzie się również Polskie Stronnictwo Ludowe. Po prawej stronie występują Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Porozumienie Centrum i RdR. Co do BBWR, z racji swej niejednorodności programowej może on pojawić się i na lewicy - i na prawicy - i po obu stronach naraz.

Taki układ sceny politycznej rozstrzyga o strategii wyborczej KPN. Przypomnijmy, że wszystkie sondaże wyborcze ostatnich kilkunastu miesięcy tylko czterem stronnictwom (KPN, UD, PSL, SLD) zawsze dawały poparcie co najmniej 5%. Otóż wszyscy ci główni rywale polityczni wyborów 1993 - poza KPN - znajdują



się na lewicy. Tam też rozstrzygną się losy kampanii wyborczej. Zwłaszcza, że wszystkie główne partie pragną pozyskać głosy najbardziej masowych środowisk pracowniczych - czy to zawodowo czynnych, zatrudnionych w gospodarce narodowej, w strefie budżetowej, pracujących w rolnictwie, czy też zawodowo biernych: bezrobotnych i emerytów.

Główny kierunek ofensywy wyborczej Konfederacji wymierzony jest w lewicę. Naszymi najważniejszymi przeciwnikami, zarówno ze względów ideowych, jak politycznych, są obie główne partie lewicy: UD i SLD oraz ich pomniejsi sojusznicy. Zadanie ułatwia nam fakt, że oba te stronnictwa lewicowe, w obawie przed kompromitacją polityczną, nie będą mogły z sobą bezpośrednio współdziałać. UD zostanie zapewne zmuszona do straszenia groźbą powrotu komuny do władzy, co oczywiście tworzyć będzie konfliktowe napięcia między oboma ugrupowaniami.

Z SLD stoczyć musimy ciężką walkę o elektorat pracowniczy. W poprzednich wyborach uzyskaliśmy wyższe niż jakkolwiek partia poparcie ze strony robotników, wyższe niż SLD poparcie bezrobotnych i niższe niż SLD poparcie emerytów. Z UD rywalizować będziemy o poparcie inteligencji, zwłaszcza zatrudnionej w strefie budżetowej, oraz o środowiska drobnej i średniej przedsiębiorczości. Od efektów tych dwu pojedynków zależeć będzie nie tylko nasze zwycięstwo, ale rozstrzygnięcie całych wyborów. Kto z tej trójki wygra - będzie na pierwszym miejscu. Tę rozgrywkę Trzech skomplikuje nowy, piąty partner - BBWR. Odbierał on będzie głosy przede wszystkim UD i jej sojusznikowi KLD. Ułatwi to rozgrywkę Konfederacji, przynajmniej tak długo, jak UD będzie traciła, ale zachowa swoją pozycję; sytuacja zmieniłaby się, gdyby BBWR uzyskał zdecydowaną przewagę nad UD i zaczął wysuwać się na pierwsze miejsce.

Wśród głównych partii jest jeszcze PSL. Nie występuje między nami większa rywalizacja. PSL dominuje w środowiskach wiejskich. KPN uzyskał na wsi całkiem niezłą pozycję, ale nie kosztem PSL, tylko przejmując część elektoratu rozpadającego się Porozumienia Ludowego. Ten brak pola starcia wyborczego może być przesłanką szerszej zakrojonej współpracy, zwłaszcza że łączy nas zbliżony program gospodarczy - antyrecesyjny.

Bardzo specyficzna sytuacja wytworzyła się na prawo od KPN. Działa tam kilka średnich i mniejszych stronnictw. Większość z nich, podobnie jak KPN, jest zdecydowanie antykomunistyczna i szanuje zasady moralności chrześcijańskiej; niektóre ponadto są w opozycji do rządu Suchockiej. W poważnej mierze mamy bardzo podobny politycznie elektorat. Równocześnie występują między nami poważne różnice: stronnictwa centrowe i prawicowe, wywodzące się z Komitetu Obywatelskiego, niewątpliwie zaliczają się do orientacji "Teraźniejszych".

Działające na prawicy partie, nawet łącząc się w szersze koalicje, nie mają szansy dostania się do Sejmu. Jeśli nawet, to wprowadzą tam nieliczną grupę posłów. Specyfika sytuacji polega na tym, że głosy które uzyskają stronnictwa prawicowe, a łącznie powinno ich być 10-15%, nie dając im realnej reprezentacji w Sejmie, zostaną dla centrum i prawicy zmarnowane. Przyczyni się to pośrednio do poprawy wyników lewicy. Proszę zastanowić się: gdyby lewica i prawica dostały równo po 50% głosów, przy czym na lewicy wszystkie głosy padłyby na stronnictwa duże, zaś na prawicy 10% uzyskiwałyby stronnictwa małe, z których żadne nie weszłoby do parlamentu - lewica otrzymałaby 55% mandatów, a prawica tylko 45%. Występujące rozbieżności polityczne centrum i prawicy, jeśli doprowadzi do rozbicia i zmarnowania głosów,



zapewni zwycięstwo wyborcze lewicy, a w szczególności postkomunistom. Dlatego wszystkie realnie oceniające sytuację środowiska prawicowe skupiają się obecnie przy KPN, a ich przedstawiciele znaleźli się na listach wyborczych Konfederacji.

Ambicje i zajadłość polityczna, zwłaszcza ugrupowań centroprawicowych powoduje nie tylko ustawiczne konflikty wewnętrzne, lecz prowadzi do zaniku odpowiedzialności; w trosce o swoje interesy partykularne mogą one de facto, chyba w sposób niezamierzony, działać na korzyść swego oficjalnego wroga - lewicy.

W toku kampanii wyborczej pojawią się dwie linie starcia, którym ich uczestnicy będą chcieli nadać nadrzędny charakter. W obu wypadkach będzie to miało charakter taktycznej rozgrywki celem pozyskania zdezorientowanych wyborców.

Pierwsza linia starcia będzie przebiegała pod hasłem: albo komuna - albo obecna koalicja rządowa, czy raczej jej zasadnicza część UD-KLD. Chcą oni stworzyć poczucie zagrożenia, że wybory mogą dać taki sam wynik jak na Litwie: klęska Sajudisu oznaczała zwycięstwo postkomunistów. Manipulacja tkwi w samym porównaniu. Otóż na Litwie nie było innej alternatywy, gdyż Sajudis całkowicie zdominował cały obóz wywodzący się z antykomunistycznej opozycji. W Polsce jeśli UD przegra wybory, co jest wielce prawdopodobne, to przegra z KPN albo z BBWR, a nie z postkomunistami. Gdyby nawet SLD odniosła wielki sukces wyborczy i zdobyła pierwszą pozycję - to i tak ugrupowania niezależne dysponowałyby większością w Sejmie. Casus litewski nie powinien się u nas zdarzyć - jest to teoretycznie i praktycznie mało prawdopodobne. Wiedzą o tym doskonale przywódcy obozu rządowego, a rzekomą alternatywą posługują się jedynie, aby skupić wokół siebie cały dawny obóz Komitetu Obywatelskiego.

Druga linia starcia przeciwstawia partie koalicji Suchockiej (UD, KLD, ZChN i mniejsze grupy) proprezydenckiemu BBWR. Obie strony walczyć będą o dawny elektorat Komitetu Obywatelskiego czy też, jak nazywają to zgodnie - sił proreformatorskich. Elektorat ten ostatnio bardzo się skurczył, ale nadal jest liczny; demoskopowie obliczają, że z końcem wiosny 1993 r sięgał jednej trzeciej uprawnionych do głosowania. Rywalizacja między partiami koalicji rządowej a BBWR, bardzo przypominająca wojnę na górze przed wyborami prezydenckimi, działać będzie na wiele środowisk odstręczająco, co spowoduje zmniejszenie liczebności tego elektoratu. Nadal jednak będzie o co walczyć. Otóż ten konflikt może być okrzyknięty głównym starciem wyborczym, a obie strony nawoływać będą innych, aby się do nich przyłączyli. W rzeczywistości będziemy mieli do czynienia jedynie z rywalizacją personalno-grupową, a nie merytoryczną. Jedna i druga strona mieści się w ramach orientacji "Teraźniejszych"; ktoby nie wygrał, wszystko zostanie po staremu, a co najwyżej zmienią się osoby na najwyższych stanowiskach. Zasadnicza linia starcia przebiega bowiem nie między UD a BBWR, lecz między "Teraźniejszymi" a "Przyszłymi" - czyli KPN.

Nie należy bagatelizować wpływu na wybory mniejszych ugrupowań, nawet jeśli żadne z nich nie dostanie się do Sejmu. Dziesięć z nich zgłosiło listy kandydatów w co najmniej 44 okręgach. Zastanówmy się przez chwilę nad raczej teoretyczną możliwością, że wszystkim tym grupom uda się przekroczyć barierę 5% i wprowadzić swych przedstawicieli do Sejmu. Wówczas powtórzy się sytuacja z Sejmu I kadencji: w warunkach istnienia kilkunastu różnych klubów, Sejm będzie tak podzielony, że zdolny tylko do pustej gadaniny, bez możliwości stworzenia trwałej większości.



Zważywszy, że generalnie społeczeństwo polskie ma absolutnie dość zdeintegrowanego politycznie parlamentu, tego rodzaju sytuacja zapewne nie grozi.

Najprawdopodobniej więc żadna z tych grup nie odegra większej roli w wyborach, a ogromna ich większość (jeśli nie wszystkie) nie wejdzie do Sejmu. Niemniej jednak na wynik wyborczy wpłyną one w niemałym stopniu. Ich działanie będzie przede wszystkim destrukcyjne. Gromadząc głosy, a nie zdobywając mandatów (albo uzyskując nieliczne) - będą te głosy marnować. Stronnictwa prawicowe będą marnować głosy na prawicy, lewicowe - na lewicy. Przykładowo, Unia Pracy będzie odbierać głosy zarówno UD, jak SLD - czyli de facto działać na korzyść KPN. Natomiast PC czy RdR będzie odbierał głosy KPN, działając na korzyść SLD i UD. Jeśli ZChN nie wejdzie do Sejmu, co jest prawdopodobne, to odciągając głosy od KPN tym samym osłabi jedynie w tych warunkach ugrupowanie, gotowe do obrony w Izbie chrześcijańskich wartości moralnych.

Nie można wykluczyć, że wszystkie mniejsze ugrupowania mogą razem zdobyć sporo głosów - na przykład 20%. Przy równym rozłożeniu żadna z tych grup nie wejdzie do parlamentu, ale wpłyną bardzo na rezultaty wyborów; mniejsze stronnictwa prawicowe przez swój udział w wyborach zdecydowałyby wówczas o zwycięstwie lewicy.

Groźby takiego negatywnego oddziaływania mniejszych ugrupowań nie należy traktować jednak zbyt przesadnie. Wyborcy, a przynajmniej ich większość, nie będą chyba skorzy do marnowania swych głosów. Powtórzono zostanie zapewne zjawisko, jakie wystąpiło w wyborach prezydenckich: ogromna większość wyborców, niezależnie od swych sympatii politycznych i środowiskowych, nie chciała głosować na kandydatów, którzy nie mieli szansy zwycięstwa: dlatego na wsi kandydat chłopski Bartoszcze dostał pięć razy mniej głosów niż robotnik miejski Wałęsa. Tym razem sympatie lewicowe, np. wobec Unii Pracy, wyrażą się w głosowaniu nie na tę partię, a na SLD lub UD; podobnie sympatie centroprawicowe wyrażą się w głosowaniu na KPN.

Mniejsze ugrupowania przyczynią się na pewno do stworzenia znacznego zamieszania wyborczego. Liczne a mało znane nazwy i zupełnie nie znane społecznie programy, w dodatku hałaśliwie zachwalane - spowodują niemały harmider. Co gorsza, podobne zjawisko wystąpi w przypadku trzech z Wielkiej Piątki. Sojusz Lewicy Demokratycznej formalnie skupia liczne grupy - ale w rzeczywistości są to tylko ich płytkie czapki. Przykładowo, do SLD dołączyły się ZNP i Związek Emerytów i Rencistów. Równocześnie wiadomo powszechnie, że większość nauczycieli i większość emerytów nie będzie głosować na SLD, bo co najmniej taka sama ilość poprze KPN, a inne partie też coś uzyskają. Przeciętny wyborca będzie się w tym wszystkim gubił: słuchając zapewnień z jednej strony bossów ZNP, a z drugiej nauczycieli występujących w imieniu środowiska, nie będzie w stanie dociec, kto jest naprawdę reprezentatywny. Albo gdy SLD zareklamuje b. szefa PPS jako antykomunistycznego działacza, który wstąpił do SLD, bo jest to blok antykomunistyczny (?!).

Gorzej jeszcze będzie w przypadku UD i BBWR. Oba ugrupowania będą się ostro zwalczały, bo walczą prawie dokładnie o ten sam elektorat. Ale różnice między nimi chwilami stawać się będą nieuchwytnie. Jedni i drudzy opowiadać się będą za kontynuowaniem dotychczasowych reform w takiej samej niezminionej postaci. Obie strony będą odwoływać się do solidarnościowego kombatantstwa. Obie będą



eksponować sukcesy a przemilczać porażki dotychczasowych rządów. Obie reprezentować będą interesy szeroko pojętej elity politycznej i finansowej. A wreszcie szastać pieniędzmi.

Co gorsza, trudno będzie nieraz określić, kto jest kto. Grupa dawnych posłów "Solidarności" podzieliła się: jedni poszli do Unii, drudzy do BBWR. Gdzie jest Rulewski, a gdzie jest Borusewicz? Ktoś był w KLD, albo w Centrum, albo w ZChN - a teraz przeszedł?, wrócił?, pozostał?, odszedł? W dodatku - zwłaszcza między kandydatami BBWR wystąpią znaczne różnice programowe. Jedni będą głosili to samo, co kandydaci UD - drudzy wręcz przeciwnie. W nie mniejszym stopniu różnice takie wystąpią w bloku rządowym. Dodajmy do tego wewnętrzne rywalizacje personalne. Skoro Tadeusz Mazowiecki i Hanna Suchocka będą kandydować w tym samym okręgu wyborczym, to przecież nie wynika to z interesu wyborczego UD, a tylko i wyłącznie z prestiżowej rozgrywki między liderami.

Wszystko to pograży kampanię w niesamowitych kłótniach, wzajemnych oskarżeniach i pomówieniach. Awantury i starcia ludzi, którzy często dla wyborców nie będą się niczym różnić - stworzą atmosferę tyleż nerwową co nieprzejrzystą. Szanse dokonania rzeczywistego i merytorycznego wyboru gwałtownie zaczną zmniejszać się.

Właściwie tylko dwa ugrupowania, jednolite i niepodzielone, o trwałej bazie i niezminiającej się koniunkturalnie linii politycznej - będą wyraziste i czytelne. To KPN i PSL. Czy nie utoną one jednak w harmiderze potępieńczych swarów działaczy, którzy wszyscy wyrosli z Komitetów Obywatelskich, a teraz będą przerzucać odpowiedzialność na siebie za to, że im się nie powiodło, że nie potrafili pokierować krajem, poprowadzić go ku lepszemu? Oto jest pytanie.

### 3. Powyborcze układy

Ale wybory miną. Ktoś je wygra. I co dalej?

Wariant pierwszy: do Sejmu wejdzie wiele partii. Dziesięć, lub więcej. Niektóre z nich podzielią się; działacze BBWR już taki przyszły podział tego stronnictwa zapowiedzieli. Wówczas zostanie powtórzona sytuacja, znana nam z Sejmu I kadencji: niemożność stworzenia trwałej większości, ciągłe zmiany i przepychanki, więcej gadulstwa niż rzeczywistej pracy. Powołany zostanie jakiś rząd, ale o słabej większości, po paru miesiącach zapewne upadnie, ale nowy nie będzie silniejszy. Dojdzie do tzw. sejmokracji w najgorszym wydaniu. Kraj zostanie pozbawiony należytego kierownictwa - i tym szybciej będzie pograżał się w prywatnie i anarchii. Szansa, jaką daje odwołanie się do społeczeństwa - przez samych wyborców zostanie zmarnowana.

Wariant drugi: zwycięży odpowiedzialność, wyborcy popierać będą tylko główne partie. Do Sejmu wejdą wyłącznie przedstawiciele Wielkiej Piątki, a przynajmniej uzyskają prawie wszystkie mandaty. Sejm stanie się funkcjonalny, zdolny do stworzenia trwałej większości i powołania silnego rządu na okres całej kadencji. Parlament będzie mógł skupić się na ustawodawstwie i nadzorze władzy wykonawczej. Powstaną warunki pozwalające na skuteczne kierowanie krajem i wprowadzenie Rzeczypospolitej z zapaści.

Wariant pierwszy przekreśla szansę szybkiego i jednolitego uregulowania wszystkich polskich trudnych problemów, wariant drugi taką szansę stwarza. Tak to przynajmniej wygląda w kategoriach logiki i słuszności. Ale zupełnie inaczej może się



przedstawiać, jeśli przejdziemy do interesu. Otóż, celem mniejszych partii w tych wyborach nie jest uporządkowanie sceny politycznej, ale uzyskanie dla siebie miejsca w parlamencie. Stąd te wszystkie manewry, które możemy obserwować: Najpierw próby wejścia na listy dużej partii (najłatwiej dostać się do BBWR i UD) czy też dogadania się z silniejszym stronnictwem, aby pod pozorem koalicji - liderzy malucha uzyskali mandaty. W porozumieniach mniejszych ugrupowań jest więcej ambitnych przywódców, niż szans na mandaty, w następnej fazie zaczynają się spory, a w ich rezultacie podziały i rozpady tych chwilowych sojuszy. Jedno jest pewne: małe stronnictwa, jeśli uda się im wprowadzić swoich kandydatów do Sejmu z list silniejszych partii, czy też z list koalicyjnych - natychmiast po wyborach zapomną o wcześniejszych porozumieniach i pójdą własną drogą, zależną od ich partykularnych interesów. Oznacza to, że gdyby do Sejmu weszli przedstawiciele trzech koalicji mniejszych partii, to w Izbie podzielią się na co najmniej dziewięć stronnictw.

Rozbity politycznie parlament potrzebny jest również SLD. Postkomuniści wiedzą doskonale, że przy największym nawet sukcesie wyborczym nie uzyskają absolutnej większości głosów. W interesie orientacji "Byłych" jest, aby przyszły Sejm był równie słaby i bezsilny jak poprzedni. Wiedzą oni doskonale, że jedyną szansą ich powrotu do władzy jest destabilizacja polityczna i społeczna Polski. Dlatego działają instrumentalnie, a w przyszłym parlamencie będą gotowi poprzeć każdą opozycję (tak jak w Sejmie I kadencji głosowali nawet za KPN), aby tylko siać zamieszanie; tylko w sprawach związanych bezpośrednio z ich interesem zachowują się merytorycznie; tak było, gdy poparli rządowy projekt tzw. powszechnej prywatyzacji, tak będzie - gdy w grę zaczyną wchodzić bezpośrednie interesy nomenklatury.

Bardzo szczególna sytuacja zachodzi przy BBWR. Jego twórcy nie ukrywają, że chodzi o rozwiązanie tymczasowe, z góry już zakładając, że posłowie wybrani ze wspólnej listy stworzą w Sejmie cztery, a może więcej stronnictw. W rzeczywistości inicjatywę BBWR należy rozpatrywać w kontekście nadchodzących wyborów prezydenckich. Przypadają one w 1995 r., ale mogą zostać przyspieszone i odbyć się już w 1994 r. Prezydentowi nie zależy, aby obecnie jakakolwiek partia (także BBWR - pamięta o smutnych doświadczeniach PC) była zbyt silna i wysunęła się przed inne, gdyż będzie wówczas w stanie wystawić poważnego kontrkandydata do prezydentury. Manewr z BBWR wynika bardziej z przygotowania sceny politycznej dla kampanii prezydenckiej, niż z obecnych wyborów; dlatego Belweder najpierw gotów był nawet poprzeć wewnątrznie rozdartą, ośmiopartyjną koalicję Suchockiej, która natychmiast po wyborach musi się rozpaść. To dążenie do budowy tymczasowego układu, typowej prowizorki politycznej tłumaczy, dlaczego przed wyborami nie powołano partii prezydenckiej; aby zachowała ona spójność, powinna zostać powołana nie wcześniej, niż rok przed wyborami prezydenckimi.

Wariant drugi - silnego, wyrazistego politycznie parlamentu zgodny jest natomiast z interesami pozostałych trzech głównych partii: KPN, PSL i UD. W tym wypadku interes całej trójki pokrywa się z interesem Rzeczypospolitej. Sejm oparty o pięć najsilniejszych stronnictw daje szansę stworzenia silnej większości i konsekwentnej realizacji programów. Oczywiście, wykorzystanie tej szansy zależy będzie od tego, które spośród tych pięciu większych stronnictw uzyska przewagę w Izbie. W grę wchodzić może kilka ewentualności.

Jeśli wszystkie główne stronnictwa uzyskają zbliżoną ilość mandatów, wytworzą się zapewne dwa bloki: UD zostanie wsparta przez SLD, a z KPN



współdziałać będzie PSL. Większość sejmowa utworzy się po tej stronie, którą poprze BBWR, a jeżeli to stronnictwo się podzieli - większa jego część. W takiej sytuacji zwycięży zapewne tendencja do łączenia się grup pochodzących z Komitetu Obywatelskiego i powstanie rządowa koalicja, kierowana przez UD. Władzę nadal będzie sprawować orientacja "Teraźniejszych", z bardzo silnym już udziałem SLD (bez postkomunistów koalicja nie będzie mieć większości). Zdecyduje to o kontynuacji obecnej polityki - tyle, że ze znacznie większym udziałem starej nomenklatury.

Działać może jednak czynnik szczególny. W 1995 r. przypadają wybory prezydenckie. Wymaga to, aby wcześniej została uchwalona konstytucja. Same prace nad konstytucją mogą być skrócone do kilku miesięcy, ale musi ona być poddana pod referendum powszechne. W sumie zajmie to sporo czasu. Dlatego rozpoczęcie prac nad konstytucją należeć będzie do najpilniejszych zadań przyszłego parlamentu. Jeszcze podczas I kadencji zarysowały się wyraźnie różnice stanowisk: zarówno UD, jak SLD opowiadają się za systemem parlamentarno-gabinetowym, gdy KPN pragnie wprowadzić system parlamentarno-prezydencki; obowiązywałby on od nowych wyborów prezydenckich. Za podobnym jak proponuje KPN rozwiązaniem opowiedział się Belweder, a Prezydent Wałęsa ogłosił oficjalnie, że poda się do dymisji z chwilą uchwalenia nowej konstytucji.

W przyszłym Sejmie ten podział ujawni się bardziej wyraźnie, niż w poprzednim. Może on spowodować, że w dążeniu do uchwalenia konstytucji dającej silne uprawnienia przyszłemu prezydentowi powstanie koalicja większościowa, złożona z KPN, BBWR i PSL. Będzie ona mogła przeforsować własny wariant konstytucji, ale na pewno potrafi stworzyć silny i stabilny rząd. Przy takim układzie politycznym, będzie to rząd, który zainauguruje nową politykę, przynajmniej nową politykę gospodarczą i społeczną.

Nie jest jednak powiedziane, że główne stronnictwa uzyskają zbliżoną ilość mandatów. Różnice mogą być duże, a któraś partia wysunie się zdecydowanie na plan pierwszy. Być może zdobędzie tyle mandatów, aby rządzić sama - a jeśli nawet nie, to wystarczyło będzie wejść w koalicję z jednym tylko stronnictwem, aby uzyskać potrzebną większość.

Zbadajmy sytuację, gdy na czoło wyjdzie SLD. Nie jest zbyt prawdopodobne, aby postkomuniści uzyskali większość mandatów; wystarczy im jednak, jeśli wyprzedzą UD - drugą partię lewicy. Wówczas SLD będzie usiłowała zorganizować koalicję pod własnym kierownictwem. W takiej sytuacji UD, wchodząc do tej koalicji skompromituje się całkowicie. Ale być może większość UD odrzuci takie rozwiązanie. Postkomuniści nie ukrywają, że liczą na pozyskanie PSL. Gdyby rzeczywiście do tego doszło, to - aby powstrzymać groźbę rekomunikacji - prawie automatycznie stworzy się blok większościowy, złożony z pozostałych partii - czyli KPN, UD i BBWR. Wystarczy to, aby nie dopuścić do powrotu komuny. Taka koalicja będzie miała jednak charakter negatywny: przeciwko czemuś. Ale, aby dobrze rządzić, trzeba być za czymś. Nie tylko wiedzieć, czego nie chcemy - ale także wiedzieć, czego chcemy. Otóż koalicja KPN, UD, BBWR byłaby tak sprzeczna programowo, że musiałaby uprawiać politykę ustawicznego krakowskiego targu między różnymi celami i programami. Mówiąc inaczej, ewentualny sukces SLD zapewne nie da jej rządów (raczej wymusi politykę antykomunistyczną) - ale spowoduje, że pozostałe stronnictwa będą skazane na zawieranie zgniłych kompromisów, co umożliwi im rządzenie, ale



uniemożliwi prowadzenie jakiegokolwiek jednolitej i konsekwentnej polityki. A tylko taka może wyprowadzić kraj z kryzysu.

Inną ewentualnością jest zwycięstwo BBWR. Ta partia, podobnie zresztą jak KPN i UD, jest teoretycznie w stanie uzyskać bezwzględną większość w Sejmie. Jeśli nawet nie, to po zwycięstwie wyborczym łatwo utworzy koalicję, pozyskując jedno z pozostałych stronnictw. Powstanie wówczas wyjątkowo prosta sytuacja: całość władzy wykonawczej w państwie znajdzie się w jednym ręku - a mianowicie w ręku Prezydenta, który ponadto będzie wywierał decydujący wpływ na ustawodawstwo. Układ taki powstanie na rok - półtora przed wyborami prezydenckimi i będzie im służyć.

Zwycięstwo BBWR przesądzi o kontynuacji dotychczasowej polityki; wprawdzie, w zależności od układów wewnątrz BBWR, będzie ona różnie wykonywana. Nie należy się spodziewać, aby mogła doprowadzić do odczuwalnej poprawy warunków bytowania podstawowej części społeczeństwa; raczej przyniesie pogorszenie. Odpowiedzialność za taki stan rzeczy spadnie jednak nie na BBWR, lecz na Prezydenta. Może to poważnie zaważyć na wynikach wyborów prezydenckich w 1995 r. Rozpatrywany pod tym kątem, sukces BBWR może dać zupełnie przeciwstawne rezultaty, Zważywszy, że cały manewr powstał dla potrzeb wyborów prezydenckich, widzimy jak sytuacja jest skomplikowana.

Najtrudniej przewidzieć co przyniosłoby sukces PSL. Samo PSL nie będzie w stanie stworzyć rządu, a więc o jego charakterze przesądzi główny koalicjant. A przecież może nim być zarówno KPN, jak BBWR, a nawet SLD czy UD. Tak czy inaczej, jest to ewentualność najbardziej nieprzewidywalna.

Najczystsze ewentualności - to zwycięstwo albo UD, albo KPN. Obie te partie doskonale wiedzą, czego chcą - i jak zamierzają swoje cele osiągnąć. Powszechnie wiadomo, że są dobrze przygotowane zarówno pod względem programowym, jak organizacyjno-kadrowym. UD wykazała się, lepiej czy gorzej, umiejętnością administrowania, KPN jest bez wątpienia najskuteczniejszą strukturą polityczną w kraju, przystosowaną do działania w warunkach bardzo trudnych i sytuacjach kryzysowych. Każda z obu tych partii jest wystarczająco wyrazista, a także daleka od kompromisów programowych: chce konsekwentnie dążyć do wytkniętych przez siebie celów.

Jeśli czy to KPN, czy UD zdecydowanie wygra wybory, to albo sama, albo na czele szerszej koalicji - potrafi poprowadzić politykę konsekwentną i jednolitą. Z punktu widzenia funkcjonowania państwa oraz wykonania zamierzonego programu (bez względu którego) - zwycięstwo jednej z tych dwu partii tworzy największą szansę.

Oczywiście, wykorzystanie tej szansy zależy przede wszystkim od tego, czy program zwycięskiej partii odpowiadał będzie potrzebom kraju i przeważającej części społeczeństwa. Wszyscy wiedzą doskonale, że program UD - partii elity, różni się zasadniczo od programu KPN - partii szarego człowieka. UD będzie kontynuować dotychczasową politykę, być może konsekwentniej niż poprzednio. KPN zainauguruje zupełnie nową politykę, zgodną z interesem średnich i uboższych warstw społecznych; potrafi ją realizować bardziej konsekwentnie i zdecydowanie, niż jakiegokolwiek inne stronnictwo.

Podkreślić warto, że wszystkie te realne możliwości zapowiadają utworzenie rządów silnych, kompetentnych i zdolnych wprowadzać w życie przygotowane



programy oraz bronić interesów reprezentowanych przez nie grup społecznych, Niezależnie bowiem od tego, co będzie się głośno mówić o konkurentach w kampanii wyborczej wszystkie pięć głównych stronnictw, nawet BBWR, jest względnie dobrze przygotowanych do tego, aby rządzić. Niektóre partie, jak KPN, przygotowywały się do tego planowo przez wiele lat; inne, jak UD czy SLD rządziły już same. Problem więc nie polega na tym, jaka będzie sama jakość rządzenia - bo będzie zbliżona, lecz jakie będą treści polityki rządowej. Wszystko więc zależy od tego, co wybiorą wyborcy - a polityka każdego ugrupowania prowadzić będzie do łatwych do przewidzenia konsekwencji.

Chociaż układy powyborcze mogą być bardzo skomplikowane, wszystko można sprowadzić do pewnych prostych stwierdzeń. Upraszczając można powiedzieć, że w zależności od tego, które z pięciu stronnictw wysunie się na czoło, Polska wybierze inną drogę. Zwycięstwo SLD oznacza anarchię i grozi, że sytuacja w Polsce potoczy się na wzór znany z różnych republik postsowieckich, takich jak Azerbejdżan czy Tadżykistan; być może uda się uniknąć przelewu krwi, ale nie można tego wykluczyć. Sukces BBWR albo UD zapewni kontynuowanie dotychczasowej polityki, co najwyżej z drugorzędnymi zmianami. Zwycięstwo BBWR stwarza jednak tylko prowizorium, przygotowuje pole do starcia o prezydenturę. Sukces UD oznacza mocne przejście władzy już teraz i sprowadzenie Prezydenta do funkcji dekoracyjnych. Jeśli sukces odniesie KPN, na plan pierwszy wysunie się obrona interesów szeroko pojętych warstw pracujących. PSL miało będzie skłonność do faworyzowania wsi kosztem miasta, KPN dążyć będzie do umocnienia władzy państwowej.

Dziś jeszcze wszystkie drogi są przed Polską otwarte. 20 września powinna pozostać już tylko jedna, ta odpowiadająca woli większości Polaków.

#### 4. Ostatnia szansa wyboru?

Nie wystarczy jednak, jak to czyniłem w poprzednich rozdziałach, poddawać jedynie analizie możliwości wyborcze i koalicyjne poszczególnych partii politycznych. Trzeba na to samo zagadnienie spojrzeć głębiej.

Moment historyczny jest bowiem szczególnie ważny.

Być może zbliżamy się do najważniejszego momentu ostatnich lat. Wcześniej działały się sprawy o historycznym znaczeniu, ale wszystkie jakby nie dokończone, przerwane. Polska brała rozbrat z przeszłością - trudny proces, nie zakończony do dziś dnia. Ale ciągle brakuje decyzji o przyszłości - dokąd iść? Jeśli nawet wydawało się, że zapadnie ona lada chwila, w ostatnim momencie ktoś przeszkadzał, nie dopuszczał, aby społeczeństwo samo wybrało. Półtora roku "Solidarności" 80/81 niemal już doprowadziło do takiej decyzji, choć Zjazd Związku nie potrafił stworzyć dostatecznie konkretnego i perspektywicznego programu. Stan wojenny przerwał wszystko. Później, w 1988 roku zaczęło już dojrzewać rozstrzygnięcie społeczne, ale w 1989 r. zostało powstrzymane, rozmyte "Okrągłym Stołem" i systemem dwuwładzy: "wasz prezydent, nasz premier". Rok później dwuwładza została zlikwidowana, ale wybór Prezydenta Trzeciej Rzeczypospolitej nie wprowadził Polski na nowe drogi, ani nie dał sankcji społecznej polityce prowadzonej przez nowy establishment; raczej zakwestionował przyjęty kierunek. Wybory 1991 r. zostały zaprogramowane tak, aby nie przyniosły merytorycznego rozstrzygnięcia. Ludzie decydujący o kształcie ordynacji wyborczej musieli sobie przecież zdawać sprawę, że umożliwiając udział w wyborach ponad stu ugrupowaniom, tym samym przekreślają możliwość jakiegokolwiek



zasadniczego, merytorycznego wyboru. Tak bardzo podzielony Sejm I kadencji nie był w stanie rozstrzygnąć żadnej z najważniejszych spraw.

Wtedy, gdy głos społeczeństwa był najdonośniejszy i najbardziej wyrazisty: przy tworzeniu "Solidarności" i w wyborach czerwcowych 1989 r. - Polacy powiedzieli bardzo jasno, czego nie chcą. Do dzisiaj nie mieli okazji powiedzieć, czego chcą. Wyboru drogi usiłują za nich dokonać siły polityczne, rządzące i nie rządzące. W grudniu 1981 r. o tym, co ma się stać z Polską starało się rozstrzygnąć Biuro Polityczne PZPR, wiosną 1989 usiłowali to uczynić PZPR i Komitet Obywatelski wspólnie, a następnie próbowały to czynić kolejne rządy - za każdym razem bez próby odwołania się do woli społeczeństwa. Decyzje podejmowane na górze za każdym razem okazywały się nietrafne; albo natychmiastowo, albo nieco później budziły sprzeciw narodu. Gdyby nawet plany rządzących były rozumne i doskonałe - a nie były! - to i tak nie miały szans powodzenia, bo szły pod prąd społecznych potrzeb i oczekiwań. Działo się tak w warunkach, gdy naród dostrzegł już, jaką siłą dysponuje i o ile jest mocniejszy od rządzących, kto by Polską nie rządził.

Te wybory są szansą, być może ostatnią. Wprawdzie też pojawia się groźba, że po raz kolejny Polacy powiedzą tylko, czego nie chcą. Ale wiele wskazuje, że tym razem decyzja będzie pełna: dokonany zostanie wybór merytoryczny. Kilkanaście milionów Polaków, którzy 19 września pójdą do urn wyborczych, zapewne zadecyduje, którą drogą podąży Polska.

Wcześniej opisywałem trzy orientacje polityczne, występujące dzisiaj. Każda z tych orientacji wprowadzi Polskę na inną drogę. jakie będą konsekwencje każdego takiego wyboru?

Orientacja "Wczorajszych" chce nas cofnąć do przeszłości, nawet nie przed rok 1989, ale przed Sierpień 1980 r. Oczywiście, nie ma powrotu do przeszłości, może być tylko powrót do dawnej władzy - jeśli nawet obecnie będą ją sprawować inne osoby, niż przed kilku czy kilkunastu laty. Zarówno orientacja, jak interes, któremu służy - pozostaną te same. Zwycięstwo postkomuny przywróci panowanie tych wszystkich, którzy dziś skrywają się za układnymi uśmiechami parlamentarnych przywódców SLD; zza ich pleców już wychodzą tępi i toporni aparatczycy, o tyle tylko zmienni, że dziś nie są sekretarzami, tylko bankierami, kapitalistami, właścicielami majątku zagarniętego w toku prywatyzacji.

Przyjmijmy, że w wyborach zwycięża komuna i przejmuje władzę nad krajem. Jeśli nawet dziś szefowie SLD zarzekają się, że nie zamierzają rządzić - to jeśli wygrają wybory, otrzymując więcej głosów niż inni, będą musieli tworzyć rząd. uczynią to zresztą z największą chęcią, ostatecznie o niczym innym nie marzą. przejmą kierowanie krajem - i...

Nie są zdolni pokierować państwem. Wprawdzie nie brakuje wśród nich ludzi wykształconych, o wysokich kwalifikacjach, także z ministerialną praktyką - ale to nie wystarcza. Formacja postkomunistyczna ma przetrącony kręgosłup. Klęska polityczna, jaką było oddanie władzy przez PZPR, nie da się łatwo wymazać z ich świadomości. Każde ugrupowanie, które przeżyło takie doświadczenie, jeśli się nawet nie rozsypało całkowicie, przez co najmniej jedno dziesięciolecie nie jest w stanie rządzić. Dowodzą tego wszystkie znane przykłady. Post-komuniści w Polsce też nie są w stanie rządzić.

Rządząc, trzeba podejmować różne decyzje, popularne i nie, także trudne dla społeczeństwa. rząd, który nie jest zdolny do podejmowania trudnych decyzji,



zwłaszcza w takim czasie jak nasz, nie jest w stanie kierować państwem. Otóż postkomuniści, którzy stracili władzę w wyniku niezadowolenia społecznego, będą bali się, aby nie doszło do tego po raz drugi. Zwłaszcza, że tym razem nie będą mieli do dyspozycji wystarczająco silnego aparatu terroru.

Wszystko to spowoduje, że po ewentualnym przejściu władzy przez postkomunistów sprawy będą szły po staremu: pogłębiać się będzie recesja, wzrastać bezrobocie, obniżać stopa życiowa itp. Wszyscy ci, którzy mieli nadzieję, że zmieni się na lepsze, zostaną zawiedzeni. Skoro społeczeństwo uzna, że po raz drugi przez tych samych zostało tak haniebnie oszukane - zareaguje gwałtownie. Niezadowolenie, wzbierające przecież w Polsce tak mocno - wybuchnie. Obalona po raz drugi ta sama władza zapłaci wysoką cenę. W 1989 roku aparatczykom udało się wyjść obronną ręką; nikomu włos z głowy nie spadł. Za drugim razem będzie na pewno inaczej. Dojdzie do brutalnych rozliczeń, jak to w każdej rewolucji bywa.

Mniej nas jednak obchodzi, że SLD i środowiska starej nomenklatury zachowują się tak, jakby całkowicie zatraciły instynkt samozachowawczy. Zwycięstwo postkomunistów pogłębi jedynie kryzys polityczny i ekonomiczny w Polsce, zablokuje potrzebne rozstrzygnięcia i spowoduje wybuch rewolucji w Polsce z wszystkimi jej niszczycielskimi konsekwencjami. Wprowadzi kraj na krótką drogę, zakończoną katastrofą.

Orientacja dzisiejszych ma sporą szansę zwycięstwa, większą niż wczorajsi. Większość Polaków może nadal ulegać iluzji, że dla obecnej polityki i obecnie rządzących nie ma alternatywy ani programowej, ani personalnej. Wprawdzie taka irracjonalna wiara w niemożność zmiany, przynajmniej zmiany na lepsze, została już bardzo mocno podważona, ale być może jeszcze niedostatecznie. Rządzący od czterech lat mogą jeszcze czas jakiś pozostać u władzy. Niezależnie jednak od tego, czy wybory wygrałaby Unia Demokratyczna, czy BBWR, kontynuowanie polityki prowadzonej od czterech lat prowadzi nas do ślepego zaułka. Stojący na czele kraju nowy establishment nie jest w stanie zrezygnować ze swoich partykularnych interesów i żądzy bogacenia się za wszelką cenę. Nie potrafi również stworzyć nowej koncepcji politycznej, śmielszej i wyprowadzającej kraj z upadku. Zdolny jest co najwyżej do kosmetycznych korektur dotychczasowej linii politycznej. Ubóstwo intelektualne i słabość charakteru przezierają z każdego zdania, jakim przywódcy tej orientacji raczą nas z okazji nadchodzących wyborów.

Zwycięstwo "Teraźniejszych" doprowadziłoby do spełnienia jednego z dwu możliwych scenariuszy. Jeśli zdobędą się na odwagę i będą bardziej konsekwentnie realizować swój program - sytuacja w kraju zacznie się gwałtownie zaostrzać - aż po czynny wybuch niezadowolenia społecznego. Drugi scenariusz nie jest bardziej optymistyczny. Obawiając się wzrostu napięć, rząd zacznie łagodzić swą politykę, wstrzymując się od najbardziej bolesnych dla społeczeństwa decyzji. Opóźni to bez wątpienia wybuch niezadowolenia społecznego, ale i tak do niego dojdzie. W obu wariantach rząd albo ustąpi przed społeczeństwem i odda władzę, albo będzie chciał utrzymać się za wszelką cenę - i spowoduje rewolucję.

Nie można jednak wykluczyć, że wybory nie dadzą jasnego rezultatu. Głosy mogą się tak podzielić, że żadna orientacja nie zwycięży, a Sejm będzie w niewiele mniejszym stopniu podzielony, jak poprzedni. Ostatecznie aż 15 ugrupowań ma szansę wprowadzić swych przedstawicieli do Sejmu, przynajmniej teoretyczną. Wtedy znów mielibyśmy chwiejne większości i paromiesięczne rządy. Stan zawieszenia utrzymałby



się, szarpana przez różne orientacje Polska nadal pogrążałaby się w kryzysie. Doprowadzić to może tylko do wybuchu niezadowolenia społecznego; wybory je tylko odsuwają na później, ale będzie nie do uniknięcia. Próba okiełznania tego niezadowolenia może jedynie doprowadzić do rewolucji.

### **5. Tylko jedno pytanie: kiedy?**

Ani zwycięstwo "Byłych", ani "Teraźniejszych" nie prowadzą do trwałego rozwiązania politycznego. W najlepszym wypadku jedynie je odsuwają w czasie, powodując iż sytuacja kraju jeszcze bardziej się pogorszy, nim zapadną rozstrzygające o losie Polski decyzje. W gorszym przypadku w ogóle nie dojdzie do rozwiązania politycznego. Zamiast niego nastąpi rozstrzygnięcie przez rewolucję.

Jest jeszcze czas, aby tego uniknąć. Rozstrzygnięcie polityczne może zapaść 19 września. Dojdzie do niego, jeśli Polacy wybiorą nową drogę: śmiałą i ambitną, wybiegającą daleko w przyszłość. Ponieważ żadne ugrupowanie polityczne, poza KPN, nie było w stanie zaprezentować tej drogi, pozostaje tylko jedna ewentualność. Rozwiązanie polityczne oznacza jedynie wybór KPN i jej programu.

Tylko KPN jest w stanie powstrzymać komunę. Tylko KPN jest w stanie wyprowadzić Polskę ze ślepego zaułka, w którą wepchnęły ją rządy Mazowieckich, Bieleckich, Olszewskich i Suchockiej.

Do takiego rozstrzygnięcia dojdzie. Byłoby najlepiej, i oszczędziło Polakom wielu cierpień, gdyby zdecydowana większość głosujących wybrała Konfederację już 19 września. Jest spora doza prawdopodobieństwa, że tak będzie. Jeśli jednak jeszcze to nie nastąpi, sprawy zostaną tylko odłożone w czasie. Ani powrót do przeszłości, ani kontynuowanie obecnej linii nie przyniosą ratunku. Prędzej czy później nastąpi ten zasadniczy zwrot: KPN przejmie odpowiedzialność i poprowadzi Polskę trudną drogą odbudowy i przyszłego rozwoju. To jest przesądzone.

Pytanie brzmi: czy nastąpi to już we wrześniu? Czy później, gdy rządzący, kto by nie rządził, utkną ostatecznie w ślepych zaułku i sami zrezygnują? Czy jeszcze później, gdy rozgorzeje rewolucja?

Co nastąpi, wiemy. Nie wiemy tylko kiedy. Ale w każdym czasie damy radę. Na pewno.

*Wrzesień 1993 roku*